

Jednak nie to okazało się największym zmartwieniem i problemem. Problemy zaczęły się po powrocie do kraju. Przejawiały się na każdym kroku - w sposobie traktowania lub nawet braku jakiegokolwiek traktowania, w zapomnieniu, które sprawiało, że czułem się winny temu co mnie spotkało. Nie chcę dziś już wracać i wypominać konkretnym osobom czy instytucjom przysłówiowego „olania” mnie. To nic nie zmieni. Dziś wiem że jest o niebo lepiej, chociaż i tak jeszcze wiele jest do naprawienia.

Pamiętam jak leżąc w przepełnionej sali szpitalnej oglądałem relację z naszej misji w Iraku - dotyczyła ona kolejnych rannych żołnierzy. Usłyszałem z ust jednego z pacjentów słowa wypowiedziane do odwiedzającego go syna z synową. Ich treść była mniej więcej taka: „To teraz będą mieć dobrze, dostaną medale, pieniądze i będą ich leczyć w klinice rządowej.” Miałem wówczas ochotę wrzasnąć: „Patrz! Patrz na moje medale i pieniądze! Zobacz w jakiej klinice jestem leczony! Spójrz na procesje generałów i ministrów jacy mnie odwiedzają!” Jednak byłem tak wściekły że nie wydusiłem słowa, a może nie chciałem wzbudzać niezdrowego zainteresowania swoją osobą i odpowiadać na idiotyczne pytania o to, ilu zabiłem.

To musiał być moment, który wskazał mi cel i sposób na dalsze życie, tylko że wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Olśnienie przyszło wraz z kolejnymi rannymi. W szpitalu przebywałem już od kilku miesięcy, obolały, osamotniony i nierozumiany. Może to cyniczne, ale wieść o kolejnych rannych w tym szpitalu, sprawiła mi radość. Wgramoliłem się na wózek i pojechałem na inny oddział z duszą na ramieniu z radością i niepewnością. Bo jak zostanie odebrany obcy facet, który wtacza się na wózku inwalidzkim do cudzej sali z okrzykiem – „Czołem!. Jestem Janusz i też byłem ranny tyle że kilka miesięcy wcześniej!”.

Obawy były niepotrzebne, przyjęty zostałem z miejsca jak „swój”. To był strzał w dziesiątkę! Poczułem jak wraz z powracającymi do mnie chęciami do życia i walki o powrót do zdrowia, do tych chłopaków trafiają podobne myśli i odczucia. Patrząc na mnie, mogli sami sobie w duchu przyznać, że przecież mogło być gorzej, dużo gorzej. Andrzej, Jacek, Marcin, Paweł, Wojtek. Różni ludzie, różne rany i zmartwienia - ryzyko utraty ręki, wzroku, poszarpana pachwina, zakażenie organizmu, obrażenia wewnętrzne i Bóg jeden wie co jeszcze, a potrafililiśmy niekiedy śmiać się tak, że pielęgniarki nas strofowały strasząc cholernie bolesnymi zastrzykami jeśli się nie uspokoimy.

Dni mijały, jedni koledzy opuszczali szpital, w ich miejsce pojawiali się nowi, a ja już miałem mój cel. Autoprezentacja – jak to brzmi, ale to prawda - mój widok podnosił ich na duchu - widziałem to w ich oczach, a pomagając im pomagałem również sobie. Po wielu miesiącach i niezliczonych operacjach - wózek poszedł w ką. Od nowa nauczyłem się nie tylko chodzić ale i żyć.

Nadal chętnie rozmawiam ze „świeżakami’. Już nie mam tej siły sugestii jak wtedy, gdy turlałem się na wózku, jednak zainteresowanie wzbudza mój obecny wygląd w porównaniu do tego co usłyszą. Daję iskrę nadziei na normalne życie. Nie potrafię sprawić aby odrosła ręka czy noga, ale chyba potrafię potrząsnąć człowiekiem i pokazać, że nadal można żyć – z pewnością inaczej, ale nie gorzej.